

LEE CHILD

ZMUŚ MNIE

Jack
Reacher

RAILROAD
CROSSING

STOP



1

Przenieść faceta tak dużego jak Keever nie było łatwo. Jakby próbowali ściągnąć materac z podwójnego łóżka wodnego, aż tak ich to wykończyło. Dlatego pochowali go blisko domu. Co w sumie miało sens. Żniwa rozpoczynały się dopiero za miesiąc i ślad na polu byłby widoczny z góry. A kogoś takiego jak on na pewno szukaliby z powietrza. Samolotami, śmigłowcami, może nawet dronami.

Zaczęli o północy, bo uznali, że tak będzie najbezpieczniej. Wokoło mieli ponad cztery tysiące hektarów pustkowie, a jedyną stworzoną przez człowieka konstrukcją po tej stronie horyzontu były tory kolejowe na wschód od nich, ale wieczorny pociąg przejeżdżał o siódmej wieczorem, a poranny dopiero o siódmej rano. Cisza i spokój, żadnych wścibskich oczu. Koparka miała cztery reflektory na pręcie nad kabiną, jak w podpicowanym pick-upie nastolatka, i cztery smugi światła tworzyły szeroką plamę halogenowej jasności. Dlatego na widoczność też nie narzekali. Kopali w zagrodzie dla świń, a zagroda to syf sam w sobie. Każdy tucznik waży ponad dziewięćdziesiąt kilo, każdy ma cztery nogi. Ziemia jest zawsze rozmiękła, zryta i grząska. Z powietrza nikt by nic nie zobaczył, nawet przez kamerę termowizyjną. Obraz

natychmiast by się rozjaśnił i zamazał, od temperatury ciała samych zwierząt, od ich gnoju i kałuż moczu.

A więc bezpiecznie.

Świnie lubią ryć, dlatego musieli kopać głęboko. Z czym też nie mieli problemu. Błyszczące w świetle wysięgniki hydrauliczne, to ryczący na pełnych obrotach, to cichnący silnik – długie ramię koparki pracowało rytmicznie, płynnymi przegubowymi ruchami, za każdym razem wybierając z dołu dwie dziesiąte metra sześciennego ziemi. Kiedy skończyli, maszyna odjechała, zawróciła i przednim lemieszem zepchnęła Keevera do grobu, przesuając go, turlając, tyłając go w błocie, aż w końcu znalazł się na brzegu dziury i z głuchym plaśnięciem spadł w pełzające po dnie elektryczne cienie.

Tylko jedno poszło nie tak, właśnie wtedy.

Wieczorny pociąg miał pięciogodzinne opóźnienie. Rano włączyli radio i okazało się, że sto dziewięćdziesiąt kilometrów na południe od nich zepsuta lokomotywa zablokowała tory. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedzieli. Usłyszeli tylko posępny gwizd na odległym przejeździe i mogli jedynie odwrócić się i popatrzeć na długi rząd oświetlonych wagonów, które jeden po drugim – przez całą wieczność, jak we śnie – przetaczały się z łoskotem w oddali. Ale w końcu przejechały. Szyny śpiewały jeszcze przez chwilę, a potem, gdy tylne światła pozycyjne zniknęły w ciemności, wrócili do pracy.

• • •

Trzydzieści dwa kilometry dalej na północ pociąg zaczął zwalniać. Zwalniał i zwalniał, a gdy wreszcie zatrzymał się z sykiem, cmoknęły drzwi i na betonową rampę przed wielkim jak apartamentowiec elewatozem wysiadł Jack Reacher. Na lewo od niego stały kolejne cztery elewatory, wszystkie większe niż ten na wprost, a po prawej – olbrzymi blaszany magazyn wielkości hangaru lotniczego. Na ustawionych w re-

gularnych odstępach słupach płonęły rtęciówki, wycinając w ciemności żółte stożki światła. W nocnym powietrzu wisiała lekka mgła, jak krótka notatka w kalendarzu. Lato miało się ku końcowi. Nadchodziła jesień.

Reacher stał nieruchomo. Pociąg ruszył, z wysiłkiem napinając stalowe mięśnie, ze zgrzytem mieląc kołami, wpadając w powolny rytm – rata-tat, rata-tat – stopniowo przyspieszając, w narastającym pędzie szarpiąc jego ubranie. Wysiadł tylko on. Nic dziwnego. Nie był to raczej wielki węzeł komunikacyjny. Wokoło nic, tylko pola, rolnictwo. Jedynym obiektem wzniesionym tu ku wygodzie pasażerów był niewielki budynek wciśnięty między elewatory i magazyn, mieszczący pewnie kasę i poczekalnię. Zbudowany w tradycyjnym kolejowym stylu, wyglądał jak dziecięca zabawka ustawiona tymczasowo między dwiema błyszczącymi beczkami na ropę.

Ale na wiszącej na nim, długiej na całą ścianę tablicy widniał napis, z powodu którego Reacher wysiadł z pociągu: „Matczyny Spoczynek”. Zobaczył tę nazwę na mapie i pomyślał, że jest fajna. Że tory przecina tam pewnie stary szlak, którym dawno temu ciągnęły wozy, i coś się tam stało. Może jakaś młoda kobieta zaczęła nagle rodzić. Wstrząsy na pewno nie pomogły. Może wóz zatrzymał się tu na parę dni albo tygodni. Czy nawet na miesiąc. I może wiele lat później ktoś sobie o tym przypomniał. Jej potomek. Tak powstają legendy rodzinne. Niewykluczone, że mieli tu nawet małe muzeum.

A mogło istnieć smutniejsze wytłumaczenie. Może po prostu pochowano tu jakąś kobietę. Była za stara i nie dała rady. W takim razie musiałyby tu gdzieś być kamień pamiątkowy.

Tak czy inaczej, zawsze mógł się rozejrzeć i czegoś dowiedzieć. Nigdzie nie jechał i miał na tę podróż całe życie, więc objazdy nic go nie kosztowały. Dlatego wysiadł z pociągu. Początkowo ogarnęło go rozczarowanie. Nie tego się

spodziewał. Myślał, że zobaczy, ot, parę zakurzonych domów i samotną zagrodę dla jednego konia. Do tego z rzadka otwarte małe muzeum, prowadzone przez ochotnika na ćwierć etatu. Może mieszkającego w pobliżu staruszka. Albo chociaż marmurowy nagrobek za ogrodzeniem z kutego żelaza.

Na pewno nie spodziewał się tej gigantycznej infrastruktury rolniczej. A chyba powinien. Trzeba było gdzieś wyładowywać to zboże. Miliardy kilogramów, tysiące ton rocznie. Zrobił krok w lewo i spojrzał w przestrzeń między elewatorami. Zobaczył ciemność, wyczuł jednak, że są tam zabudowania tworzące wystrzępiony łuk. Domy. Oczywiście. Miejsowych robotników. I światła, oby motelu czy jadłodajni, najlepiej jednego i drugiego.

Ruszył w stronę wyjścia, z nawyku omijając plamy światła na ziemi, jednak ostatnia lampa była nie do ominięcia, ponieważ zamontowano ją dokładnie nad drzwiami. Dlatego postanowił zaoszczędzić sobie dalszego kluczenia i przedostatnią płamę pokonał z marszu, idąc przez sam środek.

Wtedy z cienia wyszła jakaś kobieta.

Ruszyła ku niemu z nagłym przyplływem energii, jakby ucieszyła się na jego widok. W mowie jej ciała widać było wyraźną ulgę.

Było, ale po dwóch krokach przestało. Bo wtedy ulga przerodziła się w zawód. Kobieta zatrzymała się jak wryta i powiedziała:

– Och.

Azjotka. Ale wcale nie drobna. Co najmniej metr siedemdziesiąt trzy, może nawet metr siedemdziesiąt pięć. I stosownie do tego zbudowana. Nigdzie ani śladu kości. Żadna tam wiotka chudzina. Jakieś czterdzieści lat, długie czarne włosy, dzinsy, podkoszulek i krótka bawełniana kurtka. Sznurowane buty.

– Dobry wieczór pani.

Patrzyła ponad jego ramieniem.

– Nikogo tam nie ma – rzucił.

Spojrzała mu w oczy.

– Wysiadłem tylko ja – dodał. – Więc znajomy pewnie nie przyjechał.

– Znajomy? – Mówiła z neutralnym akcentem. Normalną amerykańszczyzną. Taką, jaką słyszał wszędzie.

– Czekala pani na kogoś, inaczej po co miałyby pani tu przychodzić? Bez sensu. Wątpię, żeby o północy było tu coś do oglądania.

Kobieta milczała.

– Ale chyba nie czeka pani od siódmej.

– Nie wiedziałam, że pociąg się spóźni – odparła. – Tu nie ma zasięgu... w komórce. I nikogo, kto by coś wiedział. Ci z Pony Express są pewnie na chorobowym.

– Nie było go w moim wagonie. Ani w dwóch następnych.

– Kogo?

– Pani znajomego.

– Nie wie pan, jak on wygląda.

– To wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Dlatego wyszła pani z cienia. Myślała pani, że to on. Przynajmniej przez chwilę. A w moim wagonie takich nie było. Ani w dwóch następnych.

– O której jest najbliższy pociąg?

– O siódmej rano.

– Kim pan jest i po co pan tu przyjechał?

– Nikim. Po prostu tędy przejeżdżałem.

– Pociąg przejeżdżał. Pan nie. Pan wysiadł.

– Zna pani to miasteczko?

– Ani trochę.

– Widziała tu pani muzeum albo kamień nagrobny?

– Po co pan tu przyjechał?

– A kto pyta?

Zawahała się.

– Nikt.

– Jest tu jakiś motel?

– Ten, w którym mieszkam.

– I jak tam jest?

– Jak w motelu.

– Coś dla mnie. Mają wolne pokoje?

– Zdziwiłabym się, gdyby nie mieli.

– Dobra, wskaże mi pani drogę. Niech pani nie czeka tu całą noc. Wstaję o świcie. Zapukam do pani przed wyjściem. Miejmy nadzieję, że pani znajomy przyjedzie rano.

Kobieta nie odpowiedziała. Jeszcze raz zerknęła na milczące tory, potem odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

2

Motel był większy, niż się spodziewał. Piętrowy, w kształcie podkowy, trzydzieści pokoi i od groma miejsc na parkingu. W tym tylko kilka zajętych. Słowem – puchy. Pomalowane na beżowo, zdobione sztukaterią pustaki, pokryte brązową farbą żelazne schody i poręcze. Nic specjalnego. Ale robił wrażenie czystego i zadbanego. Paliły się wszystkie żarówki. Reacher bywał w gorszych.

Biuro mieściło się na parterze, za pierwszymi drzwiami po lewej stronie. Za biurkiem siedział kierownik. Niski, starszy gość z wielkim brzuchem i szklanym okiem. Podał kobiecie klucz do pokoju 214. Ta wzięła go i bez słowa wyszła. Reacher spytał o cenę.

- Sześć dych – odparł jednooki.
- Za tydzień? – upewnił się Reacher.
- Za noc.
- Sporo jeżdżę.
- To znaczy?
- Nocowałem w wielu motelach.
- No i?
- No i nie widzę tu nic, co byłoby warte sześćdziesiąt dolarów. Może dwadzieścia, ale na pewno nie sześćdziesiąt.

- Nic z tego. To drogie pokoje.
- Które?
- Te na górze.
- Mogę spać na dole.
- Nie chce pan mieszkać obok niej?
- Obok kogo?
- Pana przyjaciółki.
- Nie – odparł Reacher. – Nie muszę.
- Te na dole kosztują czterdzieści.
- Dwadzieścia. Puchy tu u was. Jeszcze trochę i wypadniecie z interesu. Lepiej zarobić dwadzieścia niż nic.
- Trzydzieści.
- Dwadzieścia.
- Dwadzieścia pięć.

– Niech będzie. – Reacher wyjął z kieszeni zwitek banknotów, odliczył dziesiątkę, dwie piątki i pięć jednodolarówek. Położył pieniądze na ladzie, a jednooki wymienił je na opatrzone drewnianym brelokiem klucz do pokoju 106, który z triumfem wyjął z szuflady.

– Na końcu korytarza, w rogu – powiedział. – Koło schodów.

Jak się okazało metalowych, co znaczyło, że będą głośno szczękały pod nogami chodzących w górę i dół ludzi. Nie najlepszy pokój. Małostkowa zemsta. Ale Reacherowi było wszystko jedno. I tak zaśnie jako ostatni z gości. Nie przypuszczał, żeby ktoś wrócił do pokoju po nim. Czuł, że prześpi spokojnie całą tę cichą równiną noc.

– Dziękuję – powiedział. Wziął klucz i wyszedł.

• • •

Jednooki odczekał pół minuty, podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Spotkała kogoś na dworcu – zameldował. – Pociąg się

spóźnił. Sterczała tam pięć godzin. Przyproceedziła faceta tutaj i wynajął pokój.

W słuchawce sucho zatrzeszczało i jednooki odparł:

– Też duży. Kawał wrednego sukinsyna. Złapał mnie za jaja z ceną za pokój. Dałem mu sto sześć, ten w rogu.

Kolejne pytanie i kolejna odpowiedź.

– Stąd nie. Jestem w biurze.

Znowu suchy trzask, pytanie tym razem zadane innym tonem i w innej kadencji. Brzmiało bardziej jak rozkaz.

– Dobra – zgodził się jednooki.

Odłożył słuchawkę, z trudem wstał, wyszedł z biura, wziął krzesło ogrodowe z wolnej sto dwójki i zawlókł je na asfaltową ścieżkę, skąd widział swoje drzwi i te do pokoju 106. „Widzisz je?” – tak brzmiało pytanie. „No to rusz dupę i usiądź tam, skąd będziesz mógł obserwować go przez całą noc” – a tak rozkaz. Jednooki zawsze słuchał rozkazów, choć bywało, że niechętnie, jak choćby teraz, gdy ustawiwszy krzesło, zwałił się ciężko na niewygodny plastik. Noc na dworze. Wolałby robić coś innego.

• • •

Reacher słyszał szuranie plastiku po asfalcie, lecz nie zwrócił na to uwagi. Ot, przypadkowy nocny odgłos, nic groźnego, ani szcęk zamka strzelby wprowadzającego nabój do komory, ani syk wyjmowanego z pochwy noża, nic, co mogłoby zaniepokoić jaszczurczą część jego umysłu. Natomiast ta niejaszczurcza spodziewała się jedynie kroków obutych w sznurowane buty nóg, bo wyglądało na to, że spotkana na stacji kobieta ma mnóstwo pytań i szuka odpowiedzi. „Kim pan jest i po co pan przyjechał?”

Ale to było tylko zwykłe szur-szur po asfalcie, ani kroki, ani pukanie, dlatego nie zwrócił na to uwagi. Zdjął spodnie, ułożył je równo pod materacem, zmył pod prysznicem brud

dnia i położył się. Nastawił swój biologiczny budzik na szóstą rano, przeciągnął się, ziewnął i zasnął.

• • •

Świt był doskonale złocisty, bez domieszki różu czy fioleto. Niebo miało kolor odbarwionego błękitu, jak stara koszula po tysięcznym praniu. Reacher wziął prysznic, ubrał się i wyszedł w nowy dzień. Zobaczył krzesło ogrodowe, puste i, co trochę dziwne, stojące na asfaltowej ścieżce, lecz nie przywiązał do tego wagi. Szedł metalowymi schodami najciszej, jak umiał, ostrożnie stawiając nogi, tak że zamiast głośno szczełkać, stopnie głucho dudniły. Znalazł pokój 214 i zapukał do drzwi, stanowczo, lecz dyskretnie, jak boy w dobrym hotelu. „Budzenie, proszę pani”. Miała około czterdziestu minut. Dziesięć na przebudzenie, dziesięć na prysznic, dziesięć na dojście. Będzie na stacji na długo przed przyjazdem porannego pociągu.

Po cichu zszedł na dół i znalazł się na ulicy, w tym miejscu na tyle szerokiej, że mogła uchodzić za plac. Dla farmerskich ciężarówek, pomyślał, powolnych i niezdarłych, zawracających i manewrujących, by ustawiać się w kolejce do wielkich wag zbożowych, punktu odbiorczego i samych elewatorów. W asfalcie odcisnęły się bieżniki opon. Duża rzecz. Coś w rodzaju ośrodka rolniczego służącego miejscowej społeczności, która w tej części Ameryki mogła mieszkać w promieniu ponad trzystu kilometrów od miasteczka. Co wyjaśniałoby obecność sporego motelu. Farmerzy zjeżdżali się ze wszystkich stron i spędzali tu noc przed podróżą pociągiem do jakiegoś wielkiego miasta albo w drodze powrotnej. Może w określonych porach roku wszyscy przyjeżdżali tego samego dnia. Gdy w odległym Chicago zawierano kontrakty na przyszłe dostawy. Stąd trzydzieści pokoi.

Plac, szeroka droga manewrowa czy cokolwiek to było,

biegła z południa na północ, od wschodu, czyli od prawej strony, ograniczona przez tory i błyszczącą infrastrukturę elewatorów, a od zachodu, czyli od strony lewej, przez coś, co wyglądało na główną ulicę miasta. Stał przy niej motel, była tam również jadłodajnia i sklep wielobranżowy. Dalej na zachód luźnym półokręgiem rozciągało się miasto. Słabo zaludnione. Rozległe, w wiejskim stylu. Tysiąc mieszkańców, może mniej.

Główną ulicą ruszył na północ, szukając szlaku, którym kiedyś ciągnęły wozy. Założył, że przecina ulicę od wschodu na zachód, inaczej nie miałyby to sensu. „Jedź na zachód, młody człowieku”. Podniecające czasy. Pięćdziesiąt metrów dalej, za ostatnim elewATOREM, zobaczył przejazd kolejowy. I prostopadłą do ulicy drogę biegnącą dokładnie ze wschodu na zachód. Po prawej stronie świeciło poranne słońce, po lewej snuły się długie cienie.

Na przejeździe nie było szlabanu. Tylko czerwone światła. Stanął na torach i spojrzął na południe, skąd przyszedł. Na odcinku długości półtora kilometra – w tym bladym świetle dalej nie widział – nie dostrzegł żadnego innego przejazdu. Półtora kilometra na północ też nie. Co znaczyło, że jeśli miasteczko rościło sobie prawa do własnej arterii komunikacyjnej wschód–zachód, właśnie na niej stał.

Droga była dość szeroka, trochę wyboista, zbudowana z ziemi wybranej z płytkich rowów na poboczach. Pokryta poszarzałym ze starości grubym asfaltem, miejscami spękanym na brzegach, jak zastygła lawa. Idealnie prosta, od horyzontu po horyzont.

No tak. Mogąc jechać prosto, wozy jechały prosto. Dlaczego miałyby kluczyć? Nikt nie nakładał drogi tylko dla zabawy. Prowadzący karawanę kierował się odległym punktem orientacyjnym, a pozostali jechali za nim. Rok później inny konwój znalazł ich koleiny, a dwa lata później ktoś

naniósł szlak na mapę. W końcu, po stu latach tej zabawy, pojawili się robotnicy ze Stanowego Wydziału Budownictwa, a z nimi wywrotki z asfaltem.

Na wschodzie nie było nic do oglądania. Ani małego muzeum, ani marmurowego nagrobka. Tylko droga przecinająca bezkresne łąny prawie dojrzałego zboża. Lecz w przeciwnym kierunku, na zachód od torów, droga biegła przez miasto – sześć przecznic niskiej zabudowy – prawie dokładnie przez środek. Narożna działka po prawej stronie wydłużyła się sto metrów na północ. Jak boisko futbolowe. Przedstawicielstwo firmy sprzedającej sprzęt rolniczy. Dziwaczne traktory i wielkie maszyny, wszystko nowiutkie i błyszczące. Po lewej, w małym budynku, kiedyś najpewniej zwykłym domu mieszkalnym, był sklep z artykułami weterynaryjnymi.

Reacher zawrócił i czując na plecach ciepło letnich promieni porannego słońca, ruszył starym szlakiem przez miasto na zachód.

• • •

Jednooki kierownik motelu wybrał numer i zameldował:
– Znowu tam poszła. Czeka na poranny pociąg. Ilu oni jeszcze przyślą?

Odpowiedział mu długi plastikowy trzask w słuchawce, tym razem ani pytanie, ani rozkaz. Kilka słów wypowiedzianych łagodniejszym głosem. Dla zachęty. Albo dla wsparcia.

– Dobra, jasne – mruknął jednooki i rozłączył się.

• • •

Reacher przeszedł sześć przecznic tam i z powrotem i zobaczył dużo rzeczy. Widział domy mieszkalne i domy przerobione na biura, centrale nasienne, centrale handlu nawozami sztucznymi i przychodnię weterynaryjną dla dużych zwierząt.

Widział jednopokojową kancelarię prawniczą. Stację benzynową na skrzyżowaniu ulic, lokal do gry w bilard, sklep z piwem i lodem, sklep, w którym sprzedawano tylko gumowe kalosze i gumowe fartuchy. Widział pralnię samoobsługową, zakład wulkanizacyjny i sklep z podszewkami samo-przylepnymi.

Nie zobaczył muzeum ani pomnika.

Co jeszcze nic nie znaczyło. Ani jednego, ani drugiego nie zbudowano by przy głównej ulicy. Jeśli już, to trochę dalej, w głębi miasta, z szacunku i żeby dłużej powstało.

Skręcił w boczną uliczkę, schodząc ze szlaku. Chociaż miasto rozrosło się w półokrąg, ulice krzyżowały się pod kątem prostym. Niektóre działki były cenniejsze od pozostałych. Jakby gigantyczne elewatory wytwarzały własną siłę grawitacyjną. Najdalsze zakątki były niezagospodarowane. Natomiast bliżej centrum domy stały jeden obok drugiego. Na pierwszej ulicy za szlakiem zobaczył jednopokojowe domki, przerobione najpewniej z dawnych szop czy garaży, i rozkładane stragany dla tych, którzy poświęcili część działki na uprawę warzyw i owoców. Był tam również skład pocztowy z oddziałem Western Union, MoneyGram, FedExu, UPS-u i DHL-u, a także z faksem i punktem kserograficznym. Tuż obok mieściło się biuro dyplomowanego księgowego, lecz robiło wrażenie opuszczonego.

Ani muzeum, ani pomnika.

Mijając po drodze niskie budy, zakład naprawy silników wysokoprężnych i niezabudowane działki porośnięte cienkim jak włos zielskiem, obejrzał wszystkie posesje, jedną po drugiej. Wyszedł na drugim końcu głównej ulicy. Zwiedził pół miasta. Wciąż ani muzeum, ani pomnika.

Wtedy zobaczył poranny pociąg. Zgrzany, zniecierpliwiony i strapiiony, że musi się zatrzymać. Reacher nie widział, czy ktoś wysiadł. Za dużo zabudowań.

Był głodny.

Poszedł prosto przed siebie, przeciął drogę manewrową, minął sklep wielobranżowy i doszedłszy do miejsca, z którego wyruszył, wstąpił do jadłodajni.

• • •

A wówczas dwunastoletni wnuczek kierownika motelu wpadł chyłkiem do sklepu i podbiegł do automatu telefonicznego tuż za drzwiami. Wrzucił monetę, wybrał numer i powiedział:

– Przeczesuje miasto. Śledziłem go. Czegoś szuka. Ulica po ulicy.

3

Jadłodajnia, choć czysta, przytulna i ładnie urządzona, była przede wszystkim miejscem pracy, gdzie z maksymalną prędkością wymieniano pieniądze na kalorie. Reacher usiadł przy dwuosobowym stoliku w prawym rogu, plecami do zbiegających się ścian, żeby widzieć całą salę. Mniej więcej połowa miejsc była zajęta, głównie przez ludzi, którzy posilali się przed długim dniem pracy fizycznej. Nadeszła kelnerka, zabiegana, lecz profesjonalnie cierpliwa, i zamówił standardowe śniadanie, to znaczy pankejki i jajka na bekonie, lecz przede wszystkim kawę, jak zawsze i wszędzie.

Kelnerka poinformowała go, że w jadłodajni obowiązuje zasada „kubka bez dna”.

Powitał tę wiadomość z radością.

Pił właśnie drugi, gdy weszła kobieta ze stacji. Sama.

Przystanąła w progu i jakby się zawahała, ale potem rozejrzała się, zobaczyła go i ruszyła w jego stronę. Usiadła na wolnym krześle naprzeciwko. Z bliska i w świetle dnia wyglądała jeszcze lepiej niż nocą. Ciemne żywe oczy, inteligencja i poczucie celu na twarzy. To i niepokój.

– Dziękuję, że pan zapukał – powiedziała.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

- Mój znajomy nie przyjechał.
- Dlaczego pani mi to mówi?
- Bo pan coś wie.
- Tak?
- Po co innego wysiadałby pan z pociągu?
- Może tu mieszkam.
- Nieprawda.
- Może jestem farmerem.
- Nie.
- Nie?
- Nie sądzę.
- Dlaczego?
- Nie miał pan bagażu. Co znaczy, że nie jest pan od pokoleń przywiązany do tego samego skrawka ziemi. Przeciwnie.

Reacher milczał przez chwilę, w końcu spytał:

- Kim pani właściwie jest?
- Nieważne. Ważne jest to, kim jest pan.
- Zwykłym przejeźdnym.
- Nie uwierzę, dopóki nie dowiem się czegoś więcej.
- A ja nic nie powiem, dopóki nie dowiem się, kto pyta.

Kobieta nie odpowiedziała. Kelnerka przyniosła śniadanie. Pankejki i jajka na bekonie. Syrop stał na stole. Kelnerka dołała mu kawy. Reacher sięgnął po sztućce.

Kobieta ze stacji położyła wizytówkę na stole. Przesunęła ją po lepkiem drewnie. Na wizytówce widniała rządowa pieczęć. Niebiesko-złota.

Federalne Biuro Śledcze. Agentka specjalna Michelle Chang.

- To pani? – spytał.
- Tak – odparła.
- Miło mi panią poznać.
- Mnie pana również. Chyba.